DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 1 MARCA 1841. Ner. 5. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Szczęśliwem wynalezieniem w ubiorach fantazijnych są axamitne spencerki rozmaitego koloru, które się w roku zeszłym pojawiły, a z korzyścią zastosowane były tej zimy. Są one zwykle bardzo otwarte, z rękawami krótkiemi na sposób tych jakie noszą niedorosłe panienki. Ubior ten służy zarówno i dla młodych mężatek, lecz z daleko kosztowniejszemi ozdobami. Tak na ostatniej zabawie widziano młodę panią S* w spencerku błękitnoaxamitnym, ozdobionym angielskiemi korunkami i w spodnicy organtynowej z trzema falbanami z takichże korunek, która uzupełniała to eleganckie ubranie ściągające przez swoją świeżość i gustowność podziwienie wszystkich. Następujące przepisy gotowalni podaje pierwszy dziennik mód paryski.

N e g l i ż r a n y. Podwłośnik merynusowy popielatego koloru, podszyty merseliną niebieską. Czapeczka *belle-poule.* Chustka trójgraniasta ozdobiona walensienkami. Pantofle axamitne niebieskie.

N e g l i ż o d w y j ś c i a. Suknia kaszmirowa czarna, obszyta sznureczkami, mająca z przodu formę fartuszka. Płaszczyk. Kapotka zielona axamitna, podszyta axamitem niestrzyżonym. Chustka haftowana.

S t r ó j o d w y j ś c i a. Suknia pekinowa. Rękawy obcisłe z trzema bufami oddalonemi, sięgającemi po łokieć; takież same bufy u dołu sukni. Kołnierzyk i mankietki z korunek indijskich. Szal kaszmirowy długi jasnoniebieskiego koloru. Kapelusz z różowego atłasu ozdobiony piórami marabutowemi podpiętemi fontaziem z korunek. Buciki czarne axamitne z guzikami.

S t r ó j w i e c z o r n y. Suknia z korunek czarnych, podszyta różowym atłasem; szeroki wolant z korunek czarnych podpięty po obu stronach spodnicy różami lub sprzączką diamentami wysadzaną. Ubranie głowy sposobem greckim, ozdobione wieńcem różowym tak samo jak i suknia. Bogaty wachlarz. Chustka szaprońska.

Pierwsza dama na rycinie ma suknię z *poult-de-soi* garnirowaną krepą. Druga materialną z pracowni panny *Moismont* z korunkami *Douceta.* Wreszcie rękawiczki Majera i chustkę Chaprona.

Stroje męskie. Rycina przedstawia surdut na dwie strony zapinany i frak modny. Spodnie do fraka są obcisłe i u dołu zcinane. Kamizelka bardzo otwarta, a pod nią widać żaboty, które bywają najczęściej korunkowe. Co do paletotów u takowych guziki nie dają się teraz aż do dołu. tylko w pasie się kończą. Przyczyną tego jest zapewne to że się czasami marszczą przez takowe zapinanie. Wszelako nie jest to bynajmniej powszechne i zależy więcej od upodobania pojedyńczych osób. W ogólności z tego, że się jaki ubiór w tym lub innym szczególe zmienia, nie trzeba wnosić że już sposób dawniejszy zupełnie został zarzucony. Owszem kilkoletnie doświadczenie nauczyło nas że obok wszelkich zmian nowych dają się postrzegać także formy dawniejsze, osobli-

wiej zaś jeśli nowość nie wiąże się ściśle z wygodą.

Niewierz, nie będziesz zdradzony.

POWIASTKA.

Mieszkałem tego lata w najpiękniejszem ustroniu. Ktoż mi uwierzy, jeśli powiem, że nawet krokiem za lwowskie niewychodząc rogatki? Bo niejeden z miłośników przechadzek wałowych co według powszechnie przyjętego zwyczaju Lwów pustką nazywa, niewie że się w około miasta piękne, górzyste ustronia znajdują. Przecież ktoby raz choć niechcący i niemiłym jakim przypadkiem zagnany wszedł na wronowską górę, ujrzałby jak się malowniczo nasze przedmieścia kończą, jak się to wzgórzami zewsząd okolone, białemi domy zalane udole Lwowa niby jakie karpackie jezioro w setne pojedyńcze strugi domów rozlewa, które migając coraz rzadziej śród wzmagającej się zieleni, giną w krzewistych łożach wądołów opasujących wzgórza okolne.

W takiemto jednym wądole mieszkałem. A czegom się wzbraniał w nazwaniu miasta, to tu przyznać muszę: mieszkałem w istnej pustyni. Mały schludny, gontami pobity domek, z gęstą trawą porośniętym wjazdem o wysokiej bramie, oddzielony był sadami od sąsiedztwa, a wewnątrz zamieszkany tylko przezemnie i właściciela domu: bezdzietnego, owdowiałego, samotnego staruszka. Nikt tu nawet niechodził. Jedynym naszym gościem był, nie ów orzeł karmiący proroka na puszczy, ale stara kura, co poważnie gdakając, przybiegała z sąsiedztwa, nieść tu jaja w ogrodzie.

I mój staruszek gospodarz był tylko przybysz, choć dawny, dawny w tym domu. Zaraz od pierwszej rozmowy dowiedziałem się że jest z Zamościa i był kredencerzem przy dworze jw. ordynata Jędrzeja Zamojskiego. Zawsze, w każdej rozmowie, przy każdem napomknieniu, poporównaniu, leciała jego pamięć nazad w te przeszłe czasy młodości i krążyła wciąż około Zamościa, ordynacii, ordynackiego dworu jw. ordynata i wojewody podolskiego Jana, który wjechał na ordynację po swoim bracie Klemensie a potem ją zrezygnował na brata swego Jędrzeja, około poźniejszego dworu pana Jana w Łabuniach, a potem coraz smutniej i łzawiej około jego śmierci i rosproszenia dworu; jak jaskułka około wybranego gniazda.

Na moje zapytanie o lata, bo mi się przecie za młody na takie wspomnienia zdawał, odpowiadał że niewie, choć tam zapisano w metryce, ale musi być już wiele, bo ho-ho! dodawał, po których teraz góry, lasy nazywają: owego pana Wronowskiego, Węglińskiego, tych ja na ręku nosił.

Wieczorem bywało, kiedy powróciwszy z miasta i zgotowawszy sobie sam wieczerzę już miał spać się położyć, wychodził zawsze nadwór i siadając na ławę pod mojemi oknami, odmawiał pacierz przy gwiazdach.

Raz tak siedząc ujrzał że niezamykam na noc okien, i stanąwszy jak czarna postać przed niemi, ej! rzekł do mnie, czemu też pan niezamykasz okien na noc? Tu w prawdzie bezpiecznie, i są kraty, ale teraz lud głodny... mógłby kto nastraszyć pana. — Ach, coż tam odpowiedziałem, kto chce straszyć idzie do miasta, tu na wsi tego przecie niebędzie. Mój gospodarz przyłożył rękę do pochylonej ku oknu skroni i wymówił tajemniczo zcicha te słowa: Nie wierz nie będziesz zdradzonym! Aż mnie dreszcz przejął, tak ponury, uroczysty był jego drzący głos w tedy, i ciekawy, jakby jakiego rzadkiego widowiska, wyszedłem do niego nadwór, chcąc z nim mówić co więcej.

Jakże można być tak podejrzliwym? zacząłem pół wyraźnie pytać, a na pół żartobliwie. Czyż takąto naukę wyniosły z życia wasze stare lata?

O, mój młody panie, odrzekł staruszek, mnie się zdaje że nato tylko żyłem aby się tego nauczyć. I gdyby mię pan bóg na ostatecznym sądzie zapytał: jakąż prawdę przynosisz z sobą? odpowiedziałbym z całej duszy: niewierzyć panie nikomu tylko tobie jednemu. A najmniej sobie samemu, dodał ciszej i pokiwując ręką.

Cożto były za wypadki, zawołałem niemogąc poskromić mej ciekawości, które was takiej niewiary nabawiły.

Staruszek potrząsł głową i kiwnął jeszcze więcej znacznie ręką. Wiele o tem gadać, a i nieraz się samego pana boga prosiło, aby dał o tem zapomnieć człowiekowi. Widziałem jak łypał mocno oczami i jak usta drżały. Potem usiadł na ławce, ja przy nim i milczeliśmy.

Jużem stracił nadzieję usłyszenia czegoś od niego, gdy powoli sam zaczął mi opowiadać co następuje.

Było nas pięcioro w domu: trzy siostry i dwoch braci. Ojciec nasz bogaty mieszczan zamojski, choć nas wcześnie odumarł, zostawił ładny majątek i tak chowaliśmy się spokojnie przy naszej matce. Siostry się wnet powydawały, a matka tylko w domu z nami, rospustnymi chłopcami została.

Ileżto z nami miała kłopotów! z dwoma wisusami co się nazywa. Do niczegośmy się niebrali, cały dzień na koniu i po polu, albo w lesie ze strzelbą, a ledwieśmy pacierz umieli. Byłoto już tak wtedy we zwyczaju.

Darmo matka prosiła; śmieliśmy się z gróźb, a kiedy raz, niepamiętam już zaco wybiła mego starszego brata Sylwerego, może pietnastoletniego chłopca, tak sobie to wziął do głowy, że nic nikomu niemówiąc, uciekł od matki.

Dziwny przypadek zaprowadził go do ordynackiego dworu. Wyszedłszy na noc do lasu, obaczył tam niedźwiedzia pojedynkującego się z odyńcem. Tak, tak! my sami temu dać wiary niechcieli, ale posłuchaj że pan dalej. Pojedynkują obie bestie, a to ten tego, to ten tego powali. Mój brat stał jak malowany i patrzał, aż nakoniec odyniec niedźwiedzia szkaradnie do krwi popłatał, a niedźwiedź odyńcowi wydrapał oczy ze wszystkiem. Okropnie stękając powalił się niedźwiedź na ziemię, a odyniec rozbijał się ślepy o drzewa. Dopiero mój brat się ocknął i zabrawszy się do strzelby, ubił najprzód niedźwiedzia potem dzika. Poleciał do wsi po sanie, bo byłoto gdzieś w lutym, i naładowawszy na nie zwierzynę, zawiózł ją do dworu jw. ordynatowi. Zaraz go pan ordynat przyjął zato do siebie i zrobił go myśliwcem. Odtąd było już szczęście mego brata zapewnione. Bo dworzan ordynacki to był pan całą gębą.

Ale moja matka niechciała o nim ni słyszeć, co tem dziwniej było iż wszyscy wiedzieli jak go mocno kochała, jak się nim gryzła, i wszystko jej już niemiłem stało się w domu. Ale że ją porzucił i teraz na ordynackim dworze śmiał się z jej bicia, zawzięła się na niego i przysięgła że go i widzieć niechce.

Ta zawziętość i ten żal tak ją opanowały że już na nic więcej niepamiętała i wszystko szło w poniewierkę. Coraz bardziej było u nas w domu bezładniej i smutniej, a ludzie powiadali że tak szło i za domem.

Jednego razu wieczorem pojechałem z matką w kilka wozów do młyna. Ledwieśmy z pół mili za miasto ujechali, aż obróci się moja matka i krzyknie: pali się u nas! W okamgnieniu pozrucano worki z wozów, i zostawiwszy mię przy workach na drodze, pognała matka z parobkami do ognia.

Czekałem, czekał w nocy przy workach; nareszcie zasnąłem i nie obudził się aż rano. Ale niebyło nikogo po mnie, a gdy mi się jeść zechciało pobiegłem sam do domu.

Jużem go więcej niezastał. Samo dymiące się pogorzelisko, a moja matka opieczona ogniem leżała u sąsiada bez przytomności. Kiedy przyszła do siebie pokazało się że utraciła wzrok. Poszliśmy tedy do domu mojej najstarszej siostry. Gdzieś około tego samego czasu, jakto zwykle nigdy jedno nieszczęście samo nieprzychodzi, zginął i mój brat Sylwery ze dworu. A to z przyczyny konfederatów, którzy się wtedy w naszych stronach uganiali, myśląc o wzięciu ordynackiego zamku. Bo pan ordynat, gdy niedługo przedtem wyjechał ze Zamościa, przekazał zamkowym jenerałom aby nikogo nieprzypuszczać do twierdzy. Tedy niemogąc zająć jej hurmą, wkradł się młody Pułaski sam jeden cudem prawie do zamku, i gdyby nie pan Kober adjutant nateneczas przekupionych od Pułaskiego zamkowych jenerałów, byłby niezawodnie bramy swoim otworzył. Ale ten, stawiąc się bohatyrsko sam jeden naprzeciw wszystkim, wyratował panu ordynatowi twierdzę i tylko ocalając honor pana Pułaskiego dozwolił mu z niej ujść cało.

Otoż Pułaski po całonocnym balu na zamku wychodząc rano o świcie z twierdzy i widząc już na około za nią przywołanych ale tylko na postrach przy panu Kobrze Rossian: hej! zawołał do stojących, przy bramie dworzan, żal mi abym sam tylko miał dokazać tej sztuki i przedrzeć się pojedynkiem przez zgraje; hej chłopcy! kto ze mną? — I natychmiast rzuciło się kilku dworzan do bramy, a pomiędzy tymi i brat mój. Puścili się stawem, potem lasem, debrami, i już nikt ani słowa o moim bracie niesłyszał. Zwłaszcza że niebawem potem poszli konfederaci w rozsypkę.

Moja matka niemogła się już uspokoić.

Ustawicznie płakała a płakała winiąc sama siebie że swoją zawziętością przyprawiła go o zgubę. Nadaremnie starano się wybić jej to z głowy.

Odbudowano dom nasz, postawiano dawne gospodarstwo na nogi; lecz ją już nic nieobchodziło. O mnie ledwie wiedziała. Lubiała tylko słuchać, jak ją pocieszano nadzieją powrotu syna. Nasłuchawszy się tych pocieszań i wieści to o tym, to owym, co po kilku latach do domu wracali, tak sobie głowę jego powrotem nabiła, że mieszkając już teraz w swoim domu którego gospodarstwa niechciała odstąpić nikomu, przechowując je dla swojego spodziewanego syna, nieraz mimo swej ślepoty do pożna na progu siedziała i zapytywała na każdy szelest czy nie Sylwery to idzie?

Ja tymczasem, którym się niemógł włożyć do gospodarstwa i wiecznie łajany byłem od matki zostałem na miejsce brata na dwór ordynacki przyjętym, będąc pewny że skoro się tam dostanę, porządnym chłopcem się zrobię.

I tak się stało doprawdy. Kilkanaście lat na tym wielkiem pańskiem dworze, gdzie przy nieograniczonej swobodzie niezliczonego gościa a pańskiem prawie byciu służby, zachowywana była przecie dla szanownego starego pana dworu największa zawsze przystojność, kilkanaście lat takich, których zresztą żaden niesforny człek nie doczekał, bo go zaraz oddalano, musiały każdego napoić jakąś szlachetną powagą i godnością.

Jakoś mi teraz dziwnie się wydaje, ilekroć sobie one lata przypomnę. Niewiem jak teraz bywa na pańskich dworach, ale zdaje mi się że już tak być niemoże. Gdzie to! Gdy nas bywało ośmdziesięciu ludzi siądzie do stołu, to nam już nudno że nas mało i niema gości w dworze. A ledwieś wymówił już kilkanaście powozów na dziedzińcu i znowu po dwa woły na kilkusążniowych rożnach, które dwa niedźwiedzie obracają, i znowu po kilkaset koni po stajniach, i znowu po trzysta, czterysta służby różnych panów, i znowu po dwieście półmisków kładź na stół, i noś kosze wina z piwnicy, gdzie jak w jakim podziemnym pałacu wisi przeszło dwa tysiące beczek na łańcuchach sklepienia. A nuż pan ordynat w drogę jedzie, o dwie mili do Łabuń, o kilka do Lublina. Wieleż tam bryk pod kuchnię, pod piwnicę, pod kredens, pod kaplicę i służbę? A wieleż tam tysięcy pan komisarz panu na nieprzewidziane wypadki miesięcznie musi dawać z kasy; a wiele na darowizny, a wiele na nagrody gdy kto wychodzi z służby na jaki folwark, na jakie dożywocie!..

Jużto tak więcej niebędzie. Bo i tamto jeszcze za nas ustało. Pan ordynat, niemając potomka, zrezygnował ordynację na brata swego Jędrzeja i sprowadził się do swoich Łabuń.

Już tam niebyło tego dworu, pan ordynat, jakeśmy go jeszcze nazywali, żył tylko ze swoimi ojcami franciszkanami, bazylianami a z dworzan ordynackich wzięci tu byli tylko najulubieńsi i najstarsi, którzy powoli przy swoim starym panu jeden po drugim gasnęli, a których miejsca niebyły już osadzane nowymi. Tak nudziło się nam młodszym w Łabuniach i skoro który mógł to wykradał się wieczorem do Zamościa na wino.

Mnie osobliwie ciągnęło tam niezmiernie. Dawno, jeszcze przed naszym wyjazdem do Łabuń poznałem tam był u pani Husowej, bogatej ormianki, mającej porządny winny dom w mieście, ładną dziewczynę: Jagusię, która była uważana od niej jak własne dziecko.

W domu tym szło wszystko porządnie. Panna Jadwiga biała, smukłego wzrostu i jasnego oka dziewczynka miała mnóstwo sobie nadskakujących to z miejskich urzędników to z oficerów ordynanckich, ale niełatwo było w paść jej w serduszko. Jużto i mnie zrazu było trudno, lecz powoli powoli szło od ustawicznych wymówek i przymowem do coraz większego przywiązania.

Kiedym wyjeżdżał do Łabuń, stawała się nasza skłonność coraz widoczniejsza, a gdy do tego pokojowcem zostałem i różne widoki mi się na przyszłość otwierały myśleliśmy już szczerze o naszem połączeniu.

Ale zapomniałem że nie miłośną historijkę ale gorzko opłaconą naukę całego życia opowiadać zamierzyłem. Dla tego pominę wszystkie dzieje owej miłości, która jak mi się wtedy zdawało, była końcem i przeznaczeniem całego mego życia, a dzisiaj...

Zostaliśmy już zaręczeni ale jeszcze się żenić niemogłem. Pan ordynat mię rzetelnie polubił. Staruszek już dogorywał. Powiedziano więc żeby nie na czasie było oddalać się teraz od niego, gdy ón za-

pewne w testamencie świetnemi opatrzy tych zapisami, którzy wytrwają przy nim do końca. Tak się i mnie też zdawało i łatwo mię do odwleczenia małżeństwa skłoniono. Że jednak znieść tego niemogłem, aby niebędąc w stanie widywania się z nią częściej, zostawić ją u pani Husowej na celu ustawicznych całego miasta zalotów; dopiąłem tego że ją wzięła moja matka do siebie i tam Jagusia miała zostawać aż do mojego przyjazdu.

Chodziłem tedy spokojnie około pana ordynata, i lubo nietysiąc razy przychodziło mi na myśl porzucić go, zawsze jakieś ludzkie rady od tego mię odwiodły i zostałem na dworze.

Nagle powiadają że mój brat wrócił. Zdziwiłem się niemało, bo to już z pietnaście lat jakeśmy wszelką o nim wiadomość stracili, ale przecież niebyło w tem nic nadzwyczajnego i pragnąłem tylko go ujrzeć. Jednakże niedał mi się pan ordynat oddalić, ino posłał po mego brata do domu. Z domu zaś niechciała go puścić matka, która niemogła przyjść do siebie od chwili jego powrotu i dzień i noc tylko około niego się krzątała. Nareszcie przecie przyjechał do nas do dworu i zamiast młodego smukłego chłopca, ujrzałem barczystego czarniawego mężczyznę, o silnym zamachu i ważnym, pewnym kroku.

Bo też i niemały kawał ziemi obeszedł. Od konfederatów dostał się do niewoli rossijskiej i na Sibir, z tamtąd ucieczką do Tatarów i Turków, a stąd przez Multany i Bukowinę tutaj. Tyle niesłychanych rzeczy umiał nam opowiadać, że sam pan ordynat chętnie się przysłuchiwał; i mimo nakazów matki musiał mój brat kilka dni zabawić tu na dworze.

Tymczasem posyłała moja matka posłańców. Widząc zaś że mój brat niepowraca, przybiegła sama, o trzy mile do dworu, roztrącając wszystko przed sobą, i tylko syna, syna mi wróćcie! wołając. Ujrzała go i chwyciła w ramiona jak gdyby małe dziecię. Wypatrzyli się wszyscy jak na dziwowisko. Niejeden przebąkiwał że kobieta rozum straciła; przecież oprócz że go na krok niepuściła od siebie, rozmawiała rozsądnie, obmyśliła osobliwie przytomnie wszystkie potrzeby swojego starszego syna, pilnowała go z największą starannością i tylko wtedy w jakiś stan chorowity wracała gdy się od niej oddalił.

Nieprzeciwił się więc pan ordynat jego powrotowi do matki, i obdarowani nawet odjechali oboje do Zamościa.

Ja jak dawniej zostałem przy panu ordynacie, który co raz bardziej zapadał na zdrowiu, i już kilka razy ledwie przyszedł do siebie. Nie narękę prawda dochodziły mię nieraz żarty względem niebezpieczeństwa w jakim się teraz moja nieboga przy młodym bracie znajduje, ale niewidząc żadnej nato rady, cieszyłem się nadzieją bliskiego połączenia. Ot, bezbożnato była nadzieja, bo polegała na śmierci mego dobrodzieja i pana.

Temuż zaraz wtedy niepokoiła mię wiecznie. Jakaś nieustanna obawa dręczyła mię w drodze: co się też dzieje w domu? Niemogłem wytrzymać, i raz kiedy się pan ordynat położył, dosiadłem konia i pognałem do mojej matki. Pożno już było gdym przybył a jazda i niespokój tak mię zmogły żem upadł na przyspie pod ścianą, trzęsący się i zmęczony jak w febrze. Nie widać było światła we wnątrz, ale słyszałem że jeszcze rozmawiają. Poznałem głos Jagusi i mego brata. Poczem coś mówili wesoło. Naraz wzkrzyknęła Jagusia i zaczęła się chihotać i zawoławszy kilka razy wyraźnie żartobliwie: no! puść mię! wybiegła zadyszana na dwór. Kto to? zapytała mię spokojnie, myśląc że to które z ludzi siedzi. — Toś mię nie poznała Jagusiu? rzekłem zbliżając się ku niej. Pan Teodor, wymówiła po cichu i spuściła głowę i złożyła ręce na piersi. Tymczasem wyszedł brat mój Sylwery i mówiąc coś i śmiejąc się a wcale mię nie widząc porwał Jagusię za rękę i chciał odprowadzić do izby. — Czegoż mi ją wydzierasz? krzyknąłem rozjątrzony. On się cofnął i dopiero po kilku zapytaniach poznał mię. Weszliśmy do matki. Zaświecono, ale gdym teraz surową, czarną twarz mego brata ujrzał, przyszła mi dzika myśl do głowy i szepnęło mi coś potajemnie: to niemoże być brat mój. Jużem nawet na Jagusię nieuważał tylko każdy ruch tego dzikiego ociężałego człowieka śledził, i utwierdziwszy się, jak mi się zdawało, w tem wszystkiem pożegnałem się z Jagusią z dziwnem jakowemś uczuciem żalu i poleciałem nazad do Łabuń.

Co mię jednak jeszcze bardziej zdziwiło, było to że skąd inąd taką samą mi uwagę zrobiono. Na tem większe udręczenia moje zaczęły niebawem biegać w okolicy pogłoski, że to nie mój brat, że mego praw-

dziwego brata widział ktoś gdzie indziej, za granicą, a ten jakiś podobny do niego włóczęga, którego wezwani od mojej matki żydzi gdzieś wydybali i w nadziei sowitej nagrody tak od niej jak i od niego, bowiem wchodził we wszystkie prawa mego najstarszego brata, tu sprowadzili z daleka.

W tem znowu zasłabł gorzej pan ordynat i musiałem po całych nocach przy nim siedzieć.

Jednej nocy, pamiętam tak jak dzisiaj, siedzę w pokoju pana ordynata przed palącem się na kominku ogniskiem, i dumam jak zwyczajnie, co to będzie z tego wszystkiego, kiedy nagle pada przedemnie ogromne zwierciadło wstawione w mur nad kominkiem i tłucze się z wielkim łoskotem o kamienną posadzkę. Zwierciadło, które tam od stu albo więcej lat przymocowane było ogromnemi hakami, żeby trzech kowalów niebyło wstanie go wyjąć. Wtem słaby ogień się zaćmił, a drzemiący pan ordynat, przykryty jak zwykle w chorobie tylko prześcieradłem, zerwał sie jak białe widmo na łóżku, i ciężkim chrapliwym głosem co to się stało? pytał. Stałem jak nieżywy tyle straszna była ta scena dla mnie. Wreszcie powiedziałem, a pan ordynat westchnął głęboko, wyciągnął się znowu na całem dużem łożku i zakrył oczy ręką. Słyszałem jak kilka razy załkał, bo wziął to za wróżbę bliskiej zmiany, za zapukanie śmierci. Jeszczem stał niemy i patrzał na tysiącznie rozbryźnięte zwierciadło, kiedy mi kazał zawołać ojca Gabriela, franciszkana. Pobiegłem po niego. Gdy się o tem przypadku w całym dworze dowiedziano, był tylko głos jeden, że to oznacza bliską śmierć pańską.

Nazajutrz rano przyjął jw. ordynat ostatnie pomazanie, a w kilka chwil potem padł cug koni w stajni, które dopieroco z Ukrainy przyprowadzono dla pana.

Jednak jeszcze kilka dni pociągnął. I nawet mu się lepiej nieco zrobiło. A że już ciągła ciżba była teraz w pokojach, a ja już mało nie zginął z niespokoju względem moich interesów domowych, wskoczyłem więc na konia i przyleciałem do domu.

Zastałem wszystko jak dawniej. Matka ciągle przy swoim Sylwerym, Sylwery zawsze poswojemu, rad z siebie nic nie robi. Jagusia tylko wyglądała spłakana i oczywiście stroniła odemnie. Na zapytanie czego płacze? odpowiedziała że ją matka łajała; czemum łatwo uwierzył. Ale to mię jednak nieuspokoiło. Mając podejrzenie że udany brat mój oszustem, że moja Jagusia, którą pojąć ociągałem się dla pańskiego testamentu, słusznie może kochać mię przestała, uwodzona przez tegoż samego oszusta; a przytem wiedząc że moja matka nigdy temu podejrzeniu wiary nieda, byłem jak na mękach i anim mógł zadość uczynić sercu, ani przystąpić do ostatecznego porozumienia się.

Wtem przyleciał posłaniec po mnie z Łabuń. Pan ordynat mię wołał. Pożegnałem się gwałtownie z bladą, zapłakaną Jagusią, wziąłem Sylwerego za rękę i wyprowadziwszy go nadwór: słuchaj rzekłem mu drząco na wsiadaniu. Nierozumiemy się teraz. Ale jeżli wiesz o co chodzi, pilnuj się abyśmy do porozumienia nieprzyszli. Ledwiem wyjąknął te słowa, zaćmiło mi się w oczach. Zdawało mi się żem wszystko, pana, kochankę, fałszywego brata, a przez to i matkę miał stracić. Niewidząc nawet jakie wrażenie moje słowa na Sylwerym zrobiły, pojechałem za posłańcem.

Pan ordynat już umarł. Otwarło mi się przygniecione serce, i zapłakawszy jak dziecko, wpadłem do sali rzucając się u nóg nieboszczyka przy łożu. O panie, panie i ojcze z tobą przeszło mi wszystko! Ach nie przez ciebie! to moja własna wina! Spojrzałem na martwe ciało. Jeszcze widać było ślady okropnego bolu na sinej twarzy, odwróciłem się, już i płakać niemogłem. Padłem zemdlony, wynieśli mię z pokoju.

Po kilku dniach dopiero wstałem z łóżka. Cały dwór się zachodził od płaczu, jakby w sądny dzień rozbijano sobie głowy o ściany. Nasz ojciec! nasz dobrodziej! nasz obrońca! O trzydzieści mil w koło pozjeżdzali się panowie i xięża; wkażdym kącie widziałeś starców płaczących, na każdym prawie stole odprawiała się msza święta. Gdyby się był w tedy świat cały zapadał, nie zważanoby nato w Łabuniach.

A mnie jeszcze coś bliżej dotykało. Nie czekając już otwarcia testamentu, postanowiłem pojechać do matki do Zamościa, w celu przekonania się o wszystkiem.

Jadąc koło miejsca w którem mię matka przed laty zostawiła abym strzegł worków tak mię coś za serce ścisneło, iż niemogłem się posiąść z żalu. Czy to przypomnienie dawnego nieszczęścia czy bojaźń przeczuwanej utraty nowej była temu po-

wodem, niewiedziałem. Tysiąc razy tedy przejeżdzałem, a nigdy mi coś podobnego na myśl nieprzyszło, aż teraz. Kazałem więc zaciąć konie i przyjechał trzęsąc się do matki.

Wchodzę, wszystko otwarte, a nigdzie żywego ducha nie ma. Wszystko w największym nieładzie. Idę do stodoły, do ogrodu, nigdzie, nigdzie nikogo. Aż jakiś chłopiec od sąsiada mię postrzegł i powiedział że wszyscy się rozbiegli za panem Sylwerym, a moja matka u mojej młodszej siostry zostaje. Na chwile lżej mi się jakoś zrobiło. Wiedziałem że już coś stanawczego zaszło. Czy oszust, zląkłszy się mojej groźby uciekł, czy co innego, przecież raz już się rozstrzygnęło.

Jakoż niezawiodły mię moje przeczucia. Oszust przestraszony rozchodzącemi sie pogłoskami i moją pogróżką uciekł. Matka niedając żadnej z tych wieści przystępu, wpadła w pewien rodzaj obłąkania i powtarzała ciągle: wróćcie mi syna! O jedną tylko wiadomość zapytać się lękałem, a na próżno śledziłem w tej mierze memi oczyma. Wyczytała mi ją z oczu moja siostra. Uspokój się bracie rzekła. Jagusi szukasz? Ta niewdzięcznica niewarta twej troskliwości. Uciekła z oszustem. Płocha, dała mu się uwieść niebacznie. Te słowa jak wrzątek przebiegły po moich żyłach. Och i moja matka go usłuchała, a ona przecie nie płocha. Nie płochość temu winna. Biedna dziewczyno!...

W kilka dni potem moja matka umarła. Obmierzły mi te strony. Poszedłem do pana starosty wareckiego który wyjeżdżał w podróż i prosiłem aby mię przyjął do siebie. Chętnie to zrobił. Po kilkunastuletnich podróżach przyjechałem znów do Lwowa i tu się przy nim zostałem. Potem ożeniłem się i ten dom wziąłem w posagu. Ale jak mi tylko jedna była przeznaczona na ziemi, tak i temu związkowi pan bóg niepobłogosławił. I żona i dzieci pomarły i znowu samem pozostał. Jedno tylko co mi zostało, to moja smutna nauka.

Teraz siedzę tu sam na starość, bez dziecka i krewnego o jednej wierze w boga, który, jeśli to życie było próbą, a czułość serca mglistych chmurek igraszką, wynagrodzi mię lepszem kiedyś życiem i światłem.

Złożył ręce przytknąwszy je do ust, i zamilkł. Tu dzwónek z wołoskiej cerkwi zabrzmiał przed jedynastą śród ciszy, i kołysząc się po łagodnym czerwcowym wietrze wieczornym unosiły się jego dzwięki nad nami. Staruszek powstał i mówił dalej swój pacierz.

Piosnka życia.

Cicho, ciszej brzmi piosenka,
Miła, słodka, pełna dumy,
A po szybach z za okienka
Wtórzą piosnce nocne szumy.
Cicho, ciszej, i głos matki
Uspił dziecko, spi dziecina,
Bo na oczki sen nierzadki
Wabi, zwabia pieśń matczyna.
A duch dziecka, dziecka czucie
Tak się z matki spiewem łączy
Że pamięta o tej nucie
Starzec, kiedy życie kończy...

Raźno, raźniej brzmi piosenka,
Miota czuciem, zapał głosi,
A po strunach lubej ręka
W głos młodziana wtór zanosi,
Raźno, raźniej pieszczot chwile
Słowa czułe, miłość czysta,
Rozum milczy, serca sile
Wierzy młodzian; złość korzysta.
Lecz gdy wiarę łzami zmyje,
A szał serca jękiem spłaci,
Dla kochanki już nieżyje
Jego piosnka: miłość braci.

Głośno, głośniej brzmi piosenka,
W piosnce męstwo, mądrość, sława,
Pióro grozi, szabla brzęka,
Rozum szermierz, walka krwawa.
Głośno głośniej, czucie drzymie,
Podłe żądze, samoluby;
Pieśń dla zysku, dumne imię
Zawiść szczęściu, radość z zguby;
Kruszec bogiem, miłość kłamie,
Myśl przy złocie się kołysze;
Lecz coż mądrość, silne ramię,
Kiedy serce jadem dysze?

Smutno, smutniej brzmi piosenka
Sama jedna, nikt nie wtórzy:
Słabe czucie, słaba ręka,
W duszy pusto, jak po burzy.
Smutno, smutniej, wspomnień krocie,
Dawne czasy, dawne żądze,
Dziś niebawi pieśń o złocie
Odgłos sławy i pieniądze;
Skrzepła dusza, krzepnie ciało
Myśli lecą tam ku niebu,
Coż tu starcom pozostało?
Chór straszliwy: pieśń pogrzebu.

Tak pieśń życia dziwnie płynie
W coraz inne wpada fale
Pierwsza dziecku; ta gdy minie
To kochanków spiewa żale.
Potem braciom; dalej złotu,
W końcu smutek, dawne czasy,
Lecz powiedzcie, niemaż zwrotu
Z drogi tej w inne zapasy?
— Jest i będzie! kto pobrata
Rozum z czuciem, serce z duchem
Ten w swej pieśni krańce świata
Spoi miłość łańcuchem.

J. Dobrzański

Podstęp.

O zaiste, wasze dzisiejsze bale z połyskiem jaki im nadaliście, z tą radością szaloną, upajającą, zamącającą głowę są czarowne; my młodzi ludzie wcześniejszej epoki nie znaliśmy ich wcale, i wyznać trzeba że przyjemną jest rzeczą gubić się śród waszej wonnej tańcem rozkołysanej ciżby, należeć do waszych roskosznych kadrylów; piękny widok sprawiają tuowdzie przelatujące pary w lubieżnej galopadzie, albo cały ten świat, świat inny, z innem życiem zgromadzony w sali redutowej i rozwijający swoję sztuczną sieć miłości i tysiączne spojrzeń badawczych i lękliwych. Wszelako przyznać musisz że z tego mnóstwa kobiet zaledwie nazajutrz bez zarumienienia się mógłbyś powitać jakieś szczątki samopas błądzące, napół widne. Obaczmy: czy pamiętasz bal przed dziesięcią laty? — O zapewne nie, jestem za nadto młody. — Posłuchaj więc mię i osądź. Ożeniłem się właśnie, i ażeby zmienić moję życie kawalerskie, szczęśliwe, zajęte, niepodległe, potrzeba było znaleść tak drogi skarb nad którym czuwam i dzisiaj jak przedtem, jakim jest ukochana żona moja. Nie byłem jeszcze u końca miodowego naszego miesiąca, gdy raz w wieczór wracając do domu postrzegłem salę redutową oświeconą tak suto jak przepyszna fara w dniach odpustowych; był to pierwszy bal zimowy. Chętka szalona mię ogarnęła, i wstydząc się sam siebie, prosiłem drogą Henrykę aby mi pozwoliła ten raz tylko pójść na bal. —

Idź, rzekła, idź mój przyjacielu! ale nie baw się długo.

Czyniłem sam sobie wyrzuty żem tego dobrego anioła zostawiał samotnego i leciał na bal na który mi towarzyszyć nie mogła, ale chęć jest jak wiesz samolubną; przytłumiłem głos serca i pobiegłem. Wszedłem do sali i zdybawszy w niej jednego z przyjaciół zacząłem z nim chodzić i rozmawiać rzucając kiedy niekiedy jakie słówko maseczkom. Gdy wtem bierze mnie za ramie śliczna rączka a głosem słodkim i drżącym pomusza mimowolnie iść za sobą.

Ty masz żonę Erneście, rzekła do mnie, pocożeś tu przyszedł? a twoja szczęśliwa małżonka, siedzi sama jedna w domu i nudzi się, jakże mogłeś ją opuścić? Może już twoja miłość ostygła po jednym miesiącu pożycia. Jakże ja jej przecie zazdroszczę, ja co ciebie tak bardzo kochałam, ja której najżywszą roskoszą było zdybywać cię na naszych wieczorach, być tak blisko ciebie, gdy walec, niestety zbyt krótki! rzucił nas w swój wir melodijny... bo i ja także, widzisz, kochałam cie w milczeniu, jak biedna, nie szczęśliwa dziewczyna; jest to naszym losem czuć miłość a nie módz jej wyznać, ani się z nią wydać. Najśmielsze nadzieje zawiodły mię, myślałam że nasze istoty mogły były żyć połączone, bo i ja także, Erneście mogła byłam być twoją żoną.

Łatwo pojmiesz moje zadziwienie; na wszystkie prośby któremi zaklinałem nieznajome *domino,* na wszystkie błagania, odpowiadała: kocham ciebie, kochałam i kocham ciebie! Po dwugodzinnej wielce zajmującej rozmowie, po tysiącznych przysięgach, wezwaniach, obietnicach wysunęła ramię swoje i rzekła odchodząc: na miłość boską nieidź za mną, ale przyjdź tu na drugi bal, będę cię czekała o tej godzinie — tyle mi jeszcze pozostało szczęścia!

Osłupiałem a powróciwszy do domu, obudziłem Henrykę i opowiedziałem jej całe to dziwne zdarzenie. Ciekawość jej była równie zaostrzona jak moja, szukała pomiędzy przyjaciółkami, znajomemi tej szczególnej osoby, nareszcie usnęliśmy godząc się nato żem miał jeszcze raz pójść na bal dla odkrycia tej pięknej tajemnicy. Poszedłem więc znowu na bal i nie bez celu, ale tą razą mniej mi było smutno zostawiać żonę. Mała moja maseczka była tak czułą i zajmującą jak pierwszą razą: przez dwie godzin czarownie mnie bawiła, powiadała mi wiele rzeczy przyjemnych, ale o sobie, o swojem nazwisku ani słowa. Coraz ciekawszy byłem a nie tłumacząc sobie tego uczucia mniej się wyrażałem przed Henryką.

Na bal następujący nie prosiłem już o pozwolenie, zdawało mi się że samo z siebie wynika; byłem mimowolnie zajęty, kim? Z istotą najczarowniejszą, najbardziej anielską jaką kiedykolwiek wyobraźnia stworzyć mogła. Kłamałem: że już nie nalazłem mojego diablika na balu i że nie miałem już nadziei widzieć go kiedy. Henryce musiało także to zdarzenie wyjść z głowy bo mnie więcej nie pytała, a ja lękałem się jej zapytać; tyle było powabu w naszych schadzkach; tyle miłości, tyle czucia w jej głosie!..

Nareszcie na ostatnim balu pełen rozpaczy że na zawsze utracę czarodziejkę która mię tyle wieczorów zachwycała, błagałem gorliwiej i usilniej, przysięgałem jej miłość, a ostatnie jej słowo przed rozejściem się naszem było że nazajutrz w południe czekać mnie będzie w jezuickim ogrodzie. I tą razą jak dawniej nie powiedziałem nic mojej żonie, i pod pozorem śniadania u przyjaciela, po bezsennie strawionej nocy, owinąłem się płaszczem udając się na wskazane miejsce. Przeklinałem woźnicę który zdawał mi się jechać noga za nogą. Z daleka postrzegłem powóz stojący, bez herbów i żadnego znaku a ludzie bez liberii. Przybiegam, drzwiczki się otwierają: widzę moje lube, całozimowe domino, z tym ukochanym głosem, z pieszczonym uściskiem ręki, z powabną kibicią; czuję woń jej hebanowych włosów, widzę ogień jej oczu!

Zmiłuj się! zawołałem zdejm, tę maskę, bogini moich myśli abym cię ujrzał, ujrzał na jedną chwilę. Maska spadła... to była ona, moja dusza, moje szczęście, moje życie, moja Henryka... Przebaczam ci rzekła, bo byłam bardzo kokietką i użyłam do podbicia ciebie wszyskich sposobów i podstępów jakich tylko kobieta użyć może, ale we względzie chytrości i kokieterii kobiecie nie brakuje rywalki i podstęp za podstęp wolę być przedmiotem niniejszego. Przechadzajmy się dzisiaj jak wczora, jak jutro i zawsze, a za karę przyrzeknij mi że w roku przyszłym nie pójdziesz na bal ani razu. Zapomnij zupełnie o twoich kawalerskich nałogach.

Widzisz więc mój przyjacielu że nasze bale miały także wdzięk jakiś, i że mogę za niemi żałować.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI DRUKIEM PIOTRA PILLERA.